

A więc to ona na tem łóżku. Nachylałam się, ale twarzy dojrzeć nie mogłam; wysuwam palce, dotknęły skroni, uniesiona żądną zemsty, tracę prawie przytomność i wbijam sztylet w tę skroń, przekonana, że od mego ciosu zginie Leonora. „Tylko śmierć od niego mnie rozdzieliła” mówiła wtedy do mnie i śmierć ją też rozdzieliła, a Frank będzie moim. Z tem uczuciem wróciłam do domu. Gdy mi nazajutrz opowiedziano o wszystkim, ogarnęła mnie rozpacz, bo ja jego Franka zabić nie chciałam, bo ja jego kochałam, bo ja bym mu własne życie oddała w ofierze. Wtedy chciałam się wyrwać z tego miasta, z tych stosunków, ogarnął mnie jakiś szal zniszczenia, jakaś żądza zabijania i oto wyjaśnienie owej trucizny, zadawanej tej zacnej kobiecie, która mnie za córkę przyjęła.

XXVIII.

ZAKONCZENIE.

Wieczorem tego samego dnia zdążył Stuart do Duranda i kiedy już skręcał w pustą zwykłą ulicę, przy której była willa Durandów, wyskoczył nagle ku niemu jakiś silny człowiek i rzucił się na niego ze sztyltem. Równocześnie ktoś inny chwycił napastnika za rękę, aby mu sztylet wyrzucić, lecz w szamotanii się z nim, sam otrzymał pchnięcie sztyltem i runął skrwiawiony na ziemię. Tymczasem Stuart dobywszy rewolweru, położył trupem napastnika. Schyliwszy się, poznął Bradmardina. Nie troszcząc się o zabitego napastnika, zwrócił się ku rannemu i z przerażeniem zobaczył, że to był Ferrars. Szybko wezwał pomocy. Ktoś z przechodniów pospieszył po lekarza, ciężko rannego Ferrarsa przeniesiono do domu Durandów. Zwłoki Bradmardina zabrala straż policyjna.

Ferrarsa otoczono najtroskliwszą opieką; wezwano najznakomitszych lekarzy, przy łóżu chorego czuwała Leonora na przemianę z Kate Scaton, a Stuart prawie na chwilę go nie opuszczał. Przez dwa tygodnie walczył ranny ze śmiercią, aż wreszcie silna, zdrowa natura i gorliwa pomoc lekarzy odniosły zwycięstwo.

Pewnego dnia, gdy już ranemu wolno było mówić, Stuart przyszedł do jego łóżka i spytał ze łzami w oczach:

— Czem ja zasłużyłem sobie, żeś chciał swe życie poświęcić dla mnie?

— To było moim obowiązkiem — odpowiedział Ferrars.

— Obowiązki przyjaźni nie sięgają aż tak daleko, by z życia swego uczynić dla przyjaciela ofiarę.

— Szczęśliwy jestem, że mówić mogę, że mówić mi wolno. Chciałem ci to wcześniej powiedzieć, ale nie było sposobności, albo raczej nie miałem może odwagi. Teraz ci powiem, ale niech to zostanie tajemnicą między nami, a zwłaszcza niech o tem nie dowie się Leonora. Baronet Sir Hirary, dziadek Leonory, miał młodszego brata, a ten był moim ojcem, lecz matką moją była prosta wieśniaczka i noszę nazwisko matki a nie ojca. Ojciec Leonory, acz znacznie starszy, wypadł mi bratem stryjecznym. Wiedział o mojem pochodzeniu i chociaż nie miałem nazwiska, nie gardził mną a gdym osierocił, opiekował się mną po ojcowsku i prawie jak ojciec, lub jak brat starszy ze mną się obchodził i jemu też zawdzięczam i wykształcenie i wszystko, czem jestem. Nie dziw się, że moim obowiązkiem spłacić Leonorze dług wdzięczności, u jej ojca zaciągnięty. Rozumiesz to dobrze, że istota tak szlachetna jak Leonora, ma szczerą głęboką wdzięczność dla ciebie, że też dlatego czuła by się nieszczęśliwą, gdyby ciebie coś złego spotkało. Widząc, że dość nieostrożnie chodzisz sam po mieście, lekceważąc sobie zemstę Bradmardina, czuwałem wciąż nad tobą i nad Bradmardinem. Właśnie owego wieczoru śledziłem Bradmardina i szedłem za nim bezustannie, a gdy skręcił w uliczkę ku willi Durandów, przeczułem, że tu będzie czyhał na ciebie. I tak się też stało. Bogu dzięki, że nikczemnik zginął, a ty uszedłeś jego ciosu. Ponowicie cię proszę, aby Leonora o niczem nie wiedziała. Baronet, jej dziadek, jest niesłychanie dumny i brałby jej za złe, gdyby chciała uznać mnie za krewnego, jak to czynił jej ojciec. Niech ta biedna sierota, która już tyle przecierpiała, nie doznaje już żadnych przykrości.

— Gdyby mój dziadek kazał mi się wyrzec uczciwego człowieka, ja bym się wyrzekła jego i jego majątku — odezwała się spokojnie Leonora, zbliżając się w tej chwili do łóżka Ferrarsa. — Wybaczcie panowie, że byłem świadkiem waszej rozmowy. Zapewne nie chcecie mnie posądzać o pływającą ciekawość, lub o brak poszanowania cudzej tajemnicy. Gdy stanęłam

niepostrzeżenie na progu, usłyszałam, że była mowa o moim ojcu. Uwierzyć zapewne, że byłem w onej chwili dumną z tego, iż jestem córką tak zacnego człowieka. Za młody jesteś, panie Ferrars, żebym cię mogła uważać za stryja, ale musisz zezwolić na to, abym cię uważała za brata.

Uścisnęła mu rękę serdecznie.

Jocelyn odwiózł Elizę Scharz do Anglii i oddał ją sądom tamtejszym. Pospieszył co tchu do Ameryki, bo miał do tego powód nieladajaki. Dawno już zakochał się w Kate Scaton, a i ona mu sprzyjała. Wracał teraz pospiesznym, bo czas było przygotować wesele.

Durand zaprosił raz Stuarta do siebie i uściśnawszy go serdecznie, rzekł tkiwie i poważnie:

— Zawdzięczam ci, kochany panie, ocalenie życia mej żony; zawdzięczam ci ocalenie honoru mego nazwiska przez wykrycie tej nikczemnicy; jesteś człowiekiem na wskroś uczciwym; byłeś przez kilka tygodni moim udanym bratankiem, bądźże teraz dziedzicem mego nazwiska i mego mienia, pozwól, bym cię przybrał za syna.

Baronet Hilary, ucieszony wiadomością o wykryciu wuczki, przybył po nią sam do Ameryki. Przy pierwszym zaraz spotkaniu z nią, przekonał się, że jest nieodrodną córką swych przodków.

To samo poczucie godności, ta sama stanowczość, ta sama energia, a nawet rysami twarzy przypominała bardzo właśnie tego dziadka, który po nią przybył. Wkrótce zawiązał się między nimi stosunek najserdeczniejszy i dumny baronet tak jakoś zaczął ulegać odnalezionej wnuczce, że nie sprzeciwiał się wcale, gdy ona, teraz lady Hilary, pana Stuarta-Duranda, jako swego narzeczonego mu przedstawiła.

Ferrarsem zaopiekował się także po ojcowsku i tak skończyła się „walka o miljon”.

KONIEC.

Ultimo — Medio.

Ciężko, pracowicie, ale pewnie, szedł dolar pod górę. Na wyszklonych szynach nie było najmniejszej skazy, która by zatamowała mocarny pęd.

Po bokach i z tyłu, tłum czarny o rozjaśnionych twarzach, pchał złotodajne cielsko. Przydrożne, niebotyczne świerki, czekające na export do Anglii, sosny mchem oorośnięte, niezwaloryzowane i dziewicze jeszcze, kiwały wierzchołkami żałośnie.

— Panie Vorschieber pchnij mu pan kapeńkę, niech jedzie to nasze ukochanie! Pchnie pan? — Pan sze pita? A z tyłu o stają parę gnała szajka arjengardy, zdyszana. Wiatr donosił refrain ich piosenki. Poprzez pustynną okolicę szły słowa gromkie, wartkie. Ultimo... Ultimo...

Wiatr gwizdże w dwanaście chuderlawych drzewek, a napotkawszy na swej drodze wykończony już gmacz P. K. O., skręca w bok i podwija w górę czarne chałaty. Czereda poważna, roztańczona, wykonuje dziwne jakieś ruchy.

Co chwila wymknie się z tłumy mąż z obliczem patryarchy i, schowawszy skrzętnie pod ka-



potę dolary, mija z trwogą w sercu zanglezowanego policjanta.

Najmilszą przystanią dla zbolalej duszy jest Grand. Pan Pipperment i pan Klosenduft pijąc wodę sodową, nabierają sił do dalszej walki. Po sali błąka się paru aniołków roznoszących „Wieczorny”

Zadufany w sobie, miły gwar szemrze, jak woda w kanale. W tem... o dziwo! Najślawniej-

szy rycerz przemysłu, w szermierce walutowej mistrz biegły, wpada zdyszany z włosami w nieładzie. Krach! Coś zepsuło się w państwie bożka dolarka.

Pracowicie pchany w górę, hen! aż pod obłoki, zatrzymał się nagle i powiedział — Nie pójdę.

A potem, znarowiony, jął wierzgać, aż odpadły wierne rzesze. I wtedy zrazu pomału, a potem coraz prędzej zaczął staczać się w dół, trącając nierozważnych ultimowców. Po żywnych polskich łanach szedł wielki jęk. Czereda rozbiegła się na wsze strony, drąc włosy, łamiąc ręce, a po śliskich, wyszklonych szynach pędził dolar, sypiąc iskry, podobien do bestji apokaliptycznej.

Cicha tajemnicza noc! Pan Klosenduft stracił cały swój majątek na dolarach i stoi złamany pod latarnią. Widmo stabilizacji marki, gnębiąc go od paru dni, przybrało oto realniejszą postać. Z za węgła domu, wyskoczył, jak tygrys pan Pipperment i zbliża się zimny i nieubłagany, żądając wypłaty, należnej mu na ultimo! Niestety.

